



W SŁOŃCU



NR. 29.

DODATEK DO TYGODNIKA „Z BLIZKA I Z DALEKA”.

WARSZAWA 18 LIPCA 1914 R.

F. Lazarusówna:

Chata w słońcu.

II.

P O D R O Ż.

Nadszedł wreszcie dzień upragniony! Łomoki spakowano po raz ostatni, po raz ostatni przed wyjazdem obiegała nasza gromadka wszystkie sulerynowe mieszkania, by się pożegnać z temi, którzy tu zostaną przez lato.

— Do widzenia, babuniu — wołała czteroletnia Andzia — przyniosę ci ze wsi bociana i bardzo dużo kwiatów!

— Nie tak to łatwo złapać bociana — mówi babcia — wątpię, czy ci się to uda.

— Eh — zapewniała Andzia — wiem, jak się to robi: nasypię mu trochę soli na ogonek i zaraz go będę miała!

Babcia nie wierzyła w skuteczność soli w tym wypadku, ale nie czas było tłumaczyć dziewczynce, bo wszystkie dzieci stanęły już w pary do wymarszu.

To też babcia uściśnęła tylko wnuczkę i rzekła:

— Wracaj mi zdrowa i w dobrym humorze!

Andzia ucałowała ją serdecznie i wybiegła na podwórze. Mały Fredek, który miał z nią iść w jednej parze właśnie, zaczął płakać, bo myślał, że Andzia zginęła, choć to przecie było niemożliwe, bo jak można zginąć u siebie w domu?

Cała czereda ruszyła pieszo na stację. Jechał tylko Antoś, bo on chodzi o kulach, a właściwie to mu wcale chodzić nie wolno.

Wyjazd umyślnie wyznaczono na niedzielę, by rodzice mogli odprowadzić dzieci, pomóc im wnieść łomoki i tym samym zaoszczędzić kosztów.

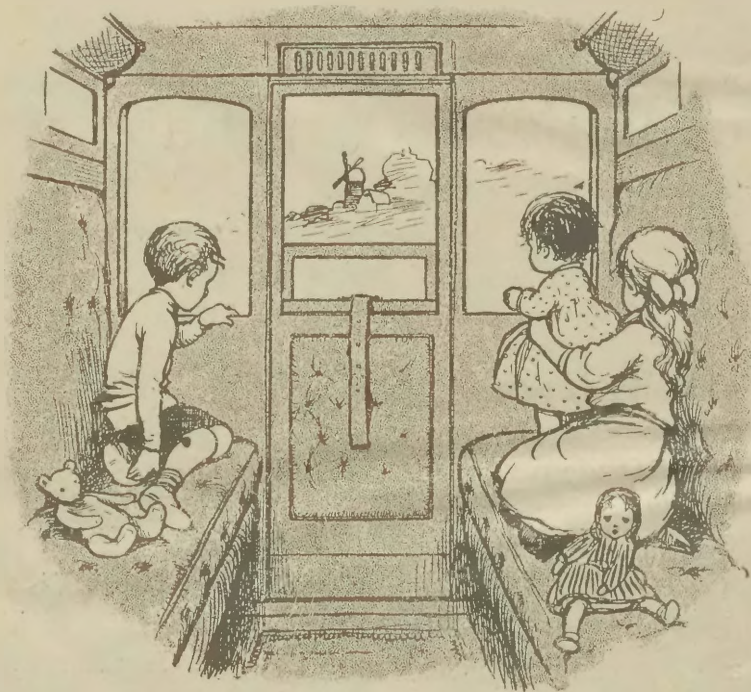
Za naszą kolonją szło wszystko, co tylko zdrowe i chodzić może. Tylko „kolej“ została w domu, bo i po cóżby miała iść z niemi, skoro już wysłużyła

swoje. Niechaj zostanie i wypocznie sobie, a jesienią, gdy dzieci wrócą, znów wozić je będzie po świecie, strasznie daleko, het o tysiące mil poza tę chałtę w słońcu, do której teraz jadą.

I dzieci i rodzice szli rażno i wesoło. Ojcowie i matki cieszyli się, że mogą wysłać swe pociechy na świeże powietrze, a z małych kolonistów każde marzyło o czym innym, każde się czym innym cieszyło.

raz zaraz, choć jeszcze nie dorósł i nie został maszynistą!

Nareszcie zaszli na dworzec! Fredek, który się dopiero uspokoił, znów zaczął płakać, bo pociąg gwizdał, a on chciał, żeby było cicho. Irusia także była zmartwiona: wszyscy mieli bilety wolnej jazdy, a ona takby pragnęła pójść do kasy i kupić bilety dla całej kolonii! Stać ją przecie na to! Dostała od wujka na pożegnanie całe pół ru-



— Zobaczę bociana! — mówiła Andzia do Fredka.

— A ja będę ciągle czerpał wodę ze studni — szczebiotał Fredek — a jak się bardzo zachlapię, to mnie słońce osuszy!

Zuzia cieszyła się, że ich mieszkanię będzie parterowe, Elżunia chciała robić babki z piasku, Wilusia zaś głównie to radowało, że pojedzie koleją te-

bla, ściska pieniądz w garści z całej siły, żeby jej z ręki nie wypadł.

Ojcowie ulokowali dzieci w przedziale trzeciej klasy, ale nikt z małych pasażerów nie mógł spokojnie usiedzieć na ławce. Wszyscy cisnęli się do okien. Nic dziwnego, tam przecie za szybami stali tatusiowie i mamusie.

— Szczęśliwej drogi! — wołano z peronu.

— Do widzenia! — odpowiadały dzieci.

Rodzice nie szczędzili dzieciom serdecznych rad i przestróg, a dzieci obietnic i tak schodziły te chwile pożegnania.

Pociąg stał długo na stacji, więc coraz częściej ta lub owa matka odwracała głowę, by ukradkiem łzę obełtrzeć. I cóż w tym dziwnego? Przecie po raz pierwszy w życiu matki rozstawały się ze swymi dziećmi!

Wtym pociąg gwizdnął. Koloniści wyciągnęli w jednej chwili z kieszonek umyślnie przygotowane chustki i małe dziecinne rączki zaczęły nimi powiewać z okien wagonu. I powiewały tak długo, aż het, na jakimś skrócie stacja zniknęła im z przed oczu.

Panna Wila podniosła nieco okna w obawie, by iskra nie wpadła dzieciom do oczu, a dzieci poprzylepiały noski do szyb, myśląc, że może przecie pociąg raz jeszcze skręci i że się uda zobaczyć mamusię, która pewnie za nimi spogląda. Ale stacja już się nie ukazała. Za to widać było najpierw duże domy miasta, potem małe domki przedmieścia, a potem... potem tyle było naraz cudownych rzeczy, że Wiluś stał jak ośłupiały, z noskiem przylepionym do szyby i wołał:

— Oczy są takie małe, a tyle widzą!

Oczy Wilusia widziały w tej chwili szeroki horyzont! Były tam pola, zlewające się w oddali z niebem, na past-

wisku były krowy, które piły wodę w strumyku i wojsko, które odbywało manewry, a het, het, znacznie dalej stała gromadka dzieci i salutowała przed pociągiem!

— Jakiż pan konduktor musi być szczęśliwy — szeptał zachwycony Franek—on to codziennie widzi!

Było tak ślicznie, że nawet Fredek przestał płakać, a gdy zobaczył zmykającego zajaca, uspokoił się zupełnie.

— Gdyby tak kolej chciała tu trochę stanąć — życzyła sobie Irusia — to bym zeszła i narwała tych niebieskich kwiatków, a potem dałabym znać pannu maszyniście, żem już wsiadła i pojechalibyśmy dalej.

Ale Julek się temu sprzeciwił:

— Jaby tam wołał, żebyśmy tak jechali i jechali przez całe wakacje i nigdzie się nie zatrzymywali, tylko ciągle widzieli z okna coś nowego.

Irusia znów nie chciała żadnych zmian, wszystkim była zachwycona, a gdy ją nóżki zaboląły od stania, usiadła na ławce i tak mówiła do siebie:

— Ta kolej, co my się w nią bawimy, jest taka, że wszystko w pokoju stoi, tylko my musimy biegać, a tutaj to my niby stoimy na miejscu, a świat cały mknie nam przed oczami.

Dziewczynka zamyśliła się, a po chwili spojrzała jasnemi oczętami przez okno i rzekła z powagą:

— Tak, to jest prawdziwy pociąg i to będą prawdziwe wakacje!

Marja Markowska:

O srogiej wojnie.

(DOKOŃCZENIE).

Narobili gwałtu
Goście pijani,
Że to się pies Soból
Z wilkiem kompani!

Pewnieby tam w złej chwili
Obu kumów zabili,
Ledwie uszli im cało.
Pies się zeźlił niemało:
— Chociaż jestem spokojny,
Ale z tobą chcę wojny
Za konfuzję, wstyd!—

— A to mi dopiero
Komedja szczera!
Niedołęga ze mną
Na wojnę się zbiera!
Zobaczmy, mosanie,
Kto z nas w skórę dostanie!
Do widzenia tymczasem,
Czekam aści pod lasem!—
Miał wilk wojsko w potrzebie:
Lisa, kozła u siebie,
Poszedł i niedźwiedź.

— Ho, ho!—myśli Soból,
Dam ja ci rady!—
Obszedł zaraz po wsi
Wszystkie sąsiady.
Czy tam mądre, czy głupie,
Brał, co znalazł w chałupie.
Aż się cztery oddziały
Jego wojska zebrały.

Po dwanaście każdego
Wiódł stworzenia żywego
Soból jak hetman!

Najprzód idą koguty,
Każdy ostro podkuty,
Każdy stawia w takł nogi,
Każdy dzwoni w ostrogi.
Idą pysznie jak pany,
Jako pany ułany.
Każdy woła:—Ko, ko, ko!
Czy to jeszcze daleko?
Da—le—ko? —

A za niemi znów koty,
Jak najlepsze piechoty,
Maszerują po ziemi
Kroki bardzo równemi.
Każdy groźnie zjeżony,
W górę niosą ogony,
Każdy miauczy:—Miau-a!
Czy się da, czy nie da,
My, my weźmiemy!—

Tuż indyki za niemi
Z koralami wielkimi
Idą niby dragony,
Każdy tak napuszony!
Szurum, burum skrzydłami,
Przytupują nogami.
— Hołdy, bołdy, kto stanie
Indykowi, mosanie?
Łup, cup—będzie trup!—

A na końcu znów kaczk,
Krzywo drepczą biedaczki!
Niepoczesne figury,
Obozowe to ciury.

Mało na nie się liczy,
Ale każda tak krzyczy,
Wywrzaskuje głośno tak:
— Wszystkich zjemy—kwak!
Zjemy, zjemy—tak!—

Ujrzeni Sobola
Z wojskiem złym takim,
Zrobiło się cicho,
Jak zasiał makiem.

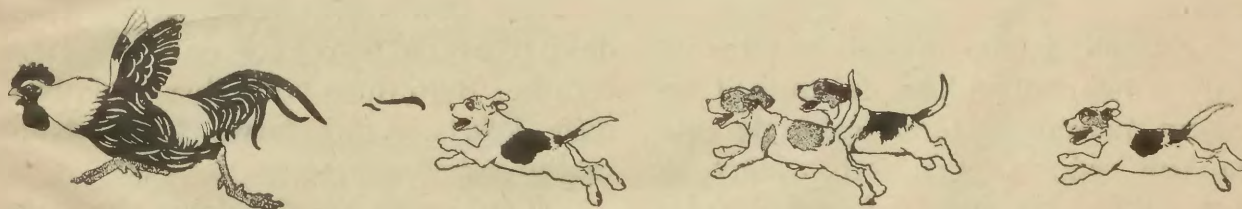
Już na każdym drży skóra,
Pierwszy niedźwiedź dał nura
Gdzieś na sosnę wysoko,
Lis w mech wrył się głęboko,
Kozioł z wilkiem nie czeka,
Co sił w nogach ucieka!
Z kimże się tu być?

Zobaczył kot jeden
We mchu coś skryte,
Łap cap pazurkami
Za lisią kitę!

Jak lis wrzasnął donośnie,
Kot się oparł na sośnie!
Ze strachu, nieprzytomnie,
Niedźwiedź myśli:—To po mnie!—
Na ziemię z drzewa bęcnął,
Ani nawet nie jęknął,
Już z niedźwiedzia trup!

Lis ze strachu pękł zaraz,
Tak się skończył ambaras.
Batalija wygrana!
Ucztowali do rana.

Potym całą gromadą
Do wsi idą z paradą.
Nie czekali do jutra,
Z niedźwiedzia, z lisa futra
Karczmarzowi sprzedali
I już nie wiem, co dalej.



Janusz Korczak:

Z Tygodnika Domu Sierot.

W KASETCE.

Prosiliśmy, aby dzieci napisały, co mają w swoich kasetkach, bo chcieliśmy się przekonać, czy szafa z kasetka-

mi potrzebna jest naszym dzieciom. I oto patrzcie, jak kasetki są potrzebne. Gdzieżby Kamiński i Kirsztain schowali to wszystko, co mają w swoich kasetkach? A oto, co mają: pudełko ze

stalówkami, szkło powiększające, pudełko z farbami i z łańcuszkami, pudełko ze spinką, pudełko z talerzykami do farb, i lichtarzyk, i pendzelek, dwie pocztówki, malowanąkę i pudełka od cukierków, torebkę ze strunami, linijkę, książeczkę do pisania, żywe srebro i piórnik, rysunki, książeczkę z obrazkami, tekturę od kalendarza, lalkę-bobasa, skarpetki, książki i kajety szkolne.

Za porządný opis Kirsztain i Kamiński dostają czekoladę.

OPATRUNKI.

Ten pan, u którego kupujemy watę, gazę, bandaże, glicerynę i lekarstwa, pytał się, dlaczego teraz tak mało kupujemy.

Odpowiedzieliśmy mu:

— Dlatego, że teraz jest u nas porządek.

Zdziwił się, bo myślał, że teraz robimy mniej opatrunków dziennie. Tymczasem naprawdę teraz robi się opatrunków więcej. I nawet wiemy, ile opatrunków się robi i komu, bo Lodzia to wszystko zapisuje. Myśleliśmy, że zapisywanie znudzi się Lodzi prędko, więc z początku przez tydzień Lodzia zapisywała na kartkach — a to zawsze nieporządnie, bo kartki były rozrzucone i łatwo mogły zginąć. Teraz jest już kajet, do którego Lodzia wpisuje, komu i jaki robimy opatrunek.

Najmniej opatrunków było w poniedziałek wieczór, bo tylko 19, najwięcej w niedzielę wieczór, bo aż 34, a zwykle bywa 25 do 30.

Najwięcej dzieci używa jodyny; wydawaliśmy jodynę 193 razy, po jodynie idzie gliceryna—114 razy.

Kogo bołą wargi, dostaje jedną kroplę gliceryny na palec, kto ma posiekane ręce, temu się trochę na rękę nalewa.

Po glicerynie idzie maść cynkowa, dawaliśmy ją 28 razy.

Często są nosy chore; czasem trzeba opatrzyć jeden nos, a raz było 6 nosów chorych.

Po nosach idą uszy, a po uszach opatrunki pod ceratkę i lekarstwo na kaszel.

Dawniej kupowaliśmy lekarstw dużo, a nigdy ich nie było, gdy kto potrzebował. Gliceryną smarowały się 3—4 starsze dziewczynki, ale dużo wylewały. Jodyną smarowali się starsi chłopcy, ale najwięcej jodyny było na ceracie.

I w Domu było dużo dzieci z wrzodami i trzeba było kłaść opatrunki pod ceratkę. Było dużo bólu, dużo roboty—duże koszta, a tak łatwo było od początku zajodynować.

Bandaże są drogie, dzieci bandaży nie prały, nie oddawały, tylko trzymały pod poduszką, w kasetce lub wyrzucały. I teraz są jeszcze takie gapy, które gubią bandaże, ale już niewiele, może cztery gapy, może 5 gap. Opatrunki robi się rano przed tranem codzień, tylko w piątek, gdy jest kąpiel — po drugim śniadaniu. A wieczorem przed pójściem spać małych dzieci. Jeżeli kto ze starszych chce mieć wieczorem opatrunek, musi także przyjść z małemi. Jeszcze potrzebne są małe ulepszenia,

żeby odrazu można było wszystko z szafy wyjąć — jakaś taca potrzebna. Ale o tym trzeba jeszcze pomyśleć.

UCZCIE SIĘ LICZYĆ.

Ta pani, która przynosi mięso dla dzieci — dostaje za mięso kwity, a po skończonym miesiącu, liczy podług kwitów, ile przyniosła mięsa i dostaje pieniądze. W grudniu przyniosła 674 funtów mięsa i 88 funtów wątroby. Ale policzyła źle, o 60 funtów mniej, tak że mogła stracić 13 rubli i 20 kopiejek. Dla biednej kobiety 13 rubli, to bardzo dużo pieniędzy. A mogła je stracić, dlatego, że się omyliła, że nie umie liczyć.

Kto nie umie liczyć, ten będzie ciągle tracił.

Uczcie się liczyć.

Wszystko trzeba liczyć. Trzeba liczyć czas, żeby nie tracić czasu.

Trzeba liczyć siły, żeby niepotrzebnie nie tracić sił.

Trzeba liczyć rozum, żeby nie zaczynać robić tego, czego się nie umie.

Band nie liczył czasu i dużo czasu stracił. Omylił się tak samo, jak ta pani.

Korn nie liczył swoich sił, a że mu się u nas nie podobało, poszedł sobie.

Nie umiała liczyć Reginka, kiedy odesłała buty i miała dużo przykrości.

Nie umiał liczyć Lejwacz duży i też nie dobrze na tym wyjdzie.

Jeżeli ktoś nie umie liczyć pieniędzy i poniesie stratę, to może ją jeszcze odzyskać. Ale jeśli ktoś pomylił się w rachunku swoich sił i czasu, to może mu być źle przez całe życie.

Chr. Andersen:

Minęły już letnie burze. Zboża pożółkły i dojrzały. Gryka, która tak pięknie biała kwitła, poczerniała, wygląda jak opalona, jak gdyby przeszedł po niej płomień. Chłopi zwykli mawiać wówczas:

— To piorun tak ją poczęstował.

Ale dlaczegoż piorun tak się wziął na grykę? Powtórzę wam tutaj to, czego się dowiedziałem od wróbla, a co wróblowi opowiedziała stara wierzba, która stała obok pola gryki i dziś jeszcze tam stoi. Jest to bardzo ciekawa, rozrosła wierzba, rosochata i

Gryka.

stara; wewnątrz jej jest puste, wypróchniałe, a trawa i rozłogi jeżyny wyrastają z jej dziupli. Drzewo pochyła się naprzód i gałęzie zwieszają się aż na ziemię, niby długie zielone warkocze.

Na wszystkich polach wokoło rośło zboże: żyto, pszenica i owies. Żyto wzeszło ślicznie i im cięższe miało kłosa, tym niżej pochyłało się w zbożnej porcorze. O, jakiż piękny owies! Skoro dojrzeje, wygląda zupełnie, jak mnóstwo małych żółtych płaszał, siedzących na jednej gałęzi.

Był tam także łąn zasiany gryką,

a ciągnął się wprost naprzeciw starej wierzby. Gryka nie chyliła się jednak tak, jak inne zboże: przeciwnie stała wyprostowana dumnie i sztywno.

— Jestem tak bogata, jak kłosa żyta—mówiła—a przytym jestem daleko ładniejsza. Moje kwiaty są równie ładne, jak kwiecie jabłoni. Każdy z przyjemnością patrzy na mnie. Czy znasz coś piękniejszego ode mnie, stara wierzbo?

A wierzba kiwała głową, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Rozumie się!

Wtedy gryka pęczniała z pychy i mówiła:

— Głupie drzewo! Tak się zesta-
rzało, że aż mu trawa z brzucha wy-
rasta.

Pewnego dnia nadciągnęła gwałtowna burza. Wszystkie kwiaty polne stuliły płatki albo pochyliły główki przed smagającym je wiatrem. Tylko gryka prostowała się, jak zwykle z dumą.

— Schyl głowę, jak my!—mówiły kwiaty.

— Nie chcę — odpowiadała gryka.

— Schyl głowę, jak my! — radziło zboże.—Oto nadlatuje anioł burzy! Ma skrzydła, sięgające od obłoków do ziemi i zmiecie cię niemi, zanim zdążysz poprosić o łaskę.

— Ale ja nie chce się schylić!—upierała się gryka.

— Stul kwiaty i pochyl listki! — odezwiała się stara wierzba.—Nie patrz

w błyskawice, kiedy rozdierają chmurę. Nawet ludziom tego nie wolno, bo przy błyskawicy można spojrzeć w otwierające się niebo, a taki widok oślepia człowieka. Cóż dopiero nas, marne rośliny, gdybyśmy się odważyły?

— Marne? — oburzyła się gryka.— A właśnie, że spojrzę w otwierające się niebo!

W tej samej chwili zdawało się, że świat cały stanął w płomieniach, tak silna błyskawica rozdarła chmurę.

Kiedy burza przeszła, wszystkie kwiaty i zboże podniosły głowy odświeżone deszczem i poili się cichym czystym powietrzem, jedną grykę tylko spalił piorun na węgiel, sterczała martwo i bezużytecznie!

Stara wierzba chwiała gałąźmi na wietrze i z liści jej spadały wielkie krople, jak gdyby drzewo płakało, a wróble pytały:

— Czemu płaczesz? Tak ślicznie na świecie! Patrz, jak słońce świeci! Patrz, jak obłoki płyną! Czy nie czujesz woni kwiatów i traw? Czemu płaczesz, stara wierzbo?

A wierzba opowiadała o gryce, o jej pysze i dumie i o karze, jaka ją spotkała.

Ja, który wam tę historyjkę opowiadam, słyszałem ją od wróbli. Wyświegotały mi ją pewnego wieczora, kiedy je prosiłem o bajkę.

łum. J. M.